ARCHIWUM ELIZY ORZESZKOWEJ

Eliza Orzeszkowa

SAM NA SAM

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

39/II

(11)

1

Sam na sam

nowela

El. Orzeszkowej

(Przędze)

ARCHIWUM E. ORZESZKOWEJ 184

Towarzystwo im. ELIZY ORZESZKOWEJ w WARSZAWIE

N 39/II

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

I

Ulicami źle oświetlonemi przez rzadko rozstawione latarnie, szybko biegła do domu. Parę godzin tylko brakowało do północy. Była niespokojną o siostrę, która wprawdzie czuła się gorzej niż zwykle, ale właścicielka zakładu krawieckiego, aż do tej chwili zatrzymała przy robocie ~~[illegible]~~ wszystkie pracownice. Nic dziwnego; karnawał i roboty — przepaść! Ona, panna do krojów, najwięcej miała pracy i odpowiedzialności. Ale Magdalena szczyciła się tem, że w 23m roku życia jest już najbieglejszą i najlepiej opłacaną pracownicą, w najpierwszym zakładzie krawieckim tego miasta. Magdalena także cieszyła się, że matka i siostra żyją przeważnie z tego, co ona zarabia, bo zarobkowej pracy siostry przeszkadzała choroba już od kilku miesięcy. Bieda w tem, że samo jej zdarzało się od pewnego czasu nieprzystępnem dla zarobku, zarówno jak siostry; na dno jego zapadł ból ~~[illegible]~~ z dna cięższy jakby żelazny i ciężki ciężkiem jak kamień. Z ciężkim kamieniem w piersi, przecież jednak biegnie po ...

i, ślizgich chodnikach. Środkiem ulicy leży śnieg, chodniki [illegible] cienką warstwą lodu. Ale ona przychodzi do dziennej i [illegible] ślizgawicy pamięci, do ślizgawicy, do zimna i do samotności za domem i — w domu.

Był moment, z pani [illegible] żal, w którym wydawało jej się na świecie jak w raju. Przenośnie nadaremnie i nic dziwnego. Siostra jej, Klemencia, piękniejsza od niej, nadewszystko więcej wykształcona i dystyngowana, od pierwszego poznania się z panem Zbigniewem oczarowała go i podbiła. Ona, Kasia, wyglądała przy niej, jak świeca przy słońcu. Gdyby p. Zbigniew nie był nigdy przestąpił progu ich domu... Ale to było niepodobnem. Poznała go w magazynie, gdzie przychodził towarzyszyć do [illegible] swojej, z siostrą, a potem, kiedy [illegible] spotykać się [illegible] na ulicach, witał się serdecznie, rozmawiał długo, tak rozmawiał i tak [illegible] patrzał, że od tego stawało się jej na świecie jasno i ciepło jak w Maju, lub w raju. Uwierzyła w to, że ją pokochał. Był kochany! O, Boże! jakież to wszystko smutne dla niej zdawało się, której nikt nigdy nie kochał, bo ojciec odumarł ją bardzo wcześnie, a matka — przepadała za Klemencią. Ją — znosiła. Musiała rozumieć;

ciu miała czynić, skoro już raz urodziło się to dziecko, niewiedzieć dla czego nie ładne? Ale oczu ludzkich, przez dobroć serca zresztą, nie przychodziła nigdy fizycznie. Ale nic nadto: żadnych czułości, pieszczot, zwierzeń. Klemunie zaledwie od ~~[illegible]~~ ziemi odrosła była już przyjaciółką Matki. W szare godziny rozmawiały pocichu, z rzadka zaczynanemi ~~[illegible]~~ wdając się na swoje; Matka zwierzała się przed nią ze swych trosk naprawdę dużych, Klemunie wymyślała różne pociechy, rady. A ona, Kasia, siedziała w drugiej izdebce sama jedna, naprawiając bieliznę i suknie, dopóty, dopóki Matka nie zawołała.

— Kasiu, nastaw samowar!

Po herbacie, to samo. Matka z Klemunią ~~[illegible]~~ przy lekcyi, albo przy czytaniu, a Kasia znowu szyła, albo czytała sama jedna i trochę ukradkiem. Bo Matka pochodziła z dobrej rodziny, znała obce języki i uczyła ich Klemunię. O Kasi powiedziała od razu: niema zdolności! Będzie szwaczką.

Została szwaczką wyborną, dobrze opłacaną, a pomimo, że to i owo ją zasmucało, niedawno jeszcze była wesoła jak szczygieł. Siostrę uwielbiała za jej piękność i rozum; każde słowo matki choć trochę serdeczne opromieniało ją w [illegible]

tak świetny, że z jej opowiadań i figlów śmiała
się nawet matka obojętna i siostra rozsądna.
Miała w sobie niewyczerpany zapas młodości, tyle
* nadziei. Nadziei długo nie rozpoznała po imieniu,
ale przed rozpoczęciem pracy i po jej ukończeniu
topiła wzrok w jutrzeniach porannych i w wie-
czornych zorzach, wtedy coś dziwnego myślała,
że stanie się coś ~~wor~~ wkrótce, coś "nowego,
radosnego. Słyszała wtedy śpiew słowika w
dalekim lesie. Lasem była przeszłość, słowi-
kiem młodość. Aż stało się to, co przeczuwała.
Z tej jutrzenki, czy z tej zorzy, wyłoniła
postać młodzieńca, który najwyraźniej okazał,
że ją kocha. Pokochała go całem sercem ufnem
i szczerem. Nie w lesie już, ale w niej samej
~~upo~~ słowik zaczął się odśpiewać. Tylko że ro-
mans prowadzony na ulicy obrażał jej skrom-
ność; nie potrafiłaby powiedzieć dla czego, ale
obrażał. Wymogła na p. Zbigniewie, aby zapoznał
się z jej matką i zaczął bywać w ich domu. Ach,
gdyby była nie uczyniła tego! Gdyby postępowała
tak jak wiele jej koleżanek, którym podobne
skrupuły ani w głowie powstają! Owszem, uczy-
niła dobrze. Gdyby wszystko wróciło, uczyniłaby
tak samo. Jednak .... o, Boże! jak smutno
na świecie! Ulice takie ciemne i puste,

pod stopami lód śliski, — od śniegów, które już pełno dokoła, chłód bije; chłodem tchnie wiatr zlatujący od nieba, czarnego jak atrament. W piersi, fala gorąca podnosi się ku gardłu i ciśnie się do oczu.

Obejrzała się; nikogo nie było dookoła. Tylko w jednym z wszystkich domów rząd okien gorzał od świateł i wylewał na pustą ulicę tony skocznej muzyki. Przypadła czołem do słupa latarni i pod dalekiemi górą dźwiękami polki, zapłakała głośno, krótko. Potem, zaczęła znowu prędko iść dalej.

Czegóżby nie dała za to, aby przestać o tem myśleć!! Nie może. Od kilku już tygodni tylko o tem myśli, myśli, myśli, aż czasem głowa pęka i żyć się nie chce, a przestać o tem myśleć, nie może. To jak dwa ćwieki wbite głęboko: jeden w głowę, drugi w serce.

Może się rozumieć; adwokat i nauczycielka para daleko lepiej dobrana, niżeli adwokat i śpiewaczka. Klemens Zrenty jest tak śliczny, dystyngowany, rozumny! Tylko... gdy po raz pierwszy p. Zbigniew wszedł do ich domu, Magdalena doprawdy nie tyle, nie tak z całej siły kokietowała go spojrzeniami, uśmiechami, rozmową, nawet włosami, które niby wypadkiem rozsypały się jej na plecy, podobne do płaszcza z czarnego jedwabiu! Później widziała, że ta

by jest to prawdzie jej narzeczony i jak go kochała zaś da się przed nią z niczem; wszystko przed nią wyznała. A ona, uczyniła wszystko co mogła, aby go jej odebrać. Podobał się jej z powierzchowności i wykształcenia, był przytem świetną partyą. Klemensa zapragnęła dla siebie, a ponieważ mogła, więc zdobyła. Siostra! Kochana i uwielbiana siostra, ta którą Kazia skoczyłaby bez namysłu w ogień i w wodę. Cóż? Widać tak jest na świecie, że kiedy idzie o własne szczęście, można zdeptać nawet – siostrę. Ale – mniejsza! Niech im Pan Bóg da wszystko: zdrowie, szczęście i życie długie, te wspólne, we dwoje...

Znowu te niezmierne łzy... Ale tym razem niczego nie dokażą. Płakać nie będzie. Wstyd i tak płakać tak często. Czasem, cóż robić? Kiedy już wytrzymać nie można, człowiek zdaje poddać się łzom; ale płakać często... na siostrę, byłoby szpetnie. Jeszcze, broń Boże, łzy te padną na jej głowę! I bez tego Klemens jest biedny, ach, jak biedny. Ta jej choroba niewiadomo jeszcze jak się skończy. Taka szczęśliwa, a niewiadomo, czy to szczęście długo trwać będzie. Kazia wybłagała u lekarza nazwę choroby i – zapomniała. Dwa wyrazy łacińskie wyleciały z pamięci, lecz to pamięta, że Klemens jest chory na serce. I jeszcze jedno

ten obłędny powiedział lekarz... Nie chcę o niej myśleć, po prostu, myśl się ucieka od tego ze strachem przerażliwym. Widzę nie tylko w oczy, ale i za oczy, nie tylko postępkami, lecz uczuciem i myślą, nie trzeba ~~[illegible]~~ winić się przeciw Klemuni; ani wyrzekać na nią, ani płakać z jej powodu, bo mi te łzy... Powiadają, że łzy skrzywdzonych, przynoszą krzywdzącym nieszczęście a przecież byłaby to prawda... Prawda! Otóż i znowu myśl zła i niepotrzebna. Taka walka miłości z boleścią, ~~[illegible]~~ przebaczenia z urazą, toczy ~~[illegible]~~ się od kilku tygodni i doprawdy, czasem wolałabym już nie żyć.

Cel do którego dążę, niedaleko. Trzy okna u szczytu wysokiej kamienicy, nad dachem. Dwa pokoje z kuchenką na stoczku, za które właśnie wczoraj pieniędzmi zapracowanemi w składzie krawieckim, zapłaciłam półroczne komorne. Kiedy przyjmowała pokwitowanie właściciela domu, pragnęła, aby matka choć pogładziła ją po twarzy, choć powiedziała ~~do~~ jej jakie miłe słówko. Nie wspomina tego. Odkąd Klemunia jest zaręczona i chora, nic oprócz niej na świecie nie widzi. Kiwnęła głową, schowała kwit do szufladki i dalej czytała głośno Klemuni, leżącej na szezlongu. Ten szezlong ona sobie kupiła. Dla chorej siostry, Klemunia rozradowana, zarzuciła jej ręce na szyję i serdecznie

ją przerażała. ~~Ten uścisk siostry~~ Od tego uścisku siostry stała się ~~tak~~ pełna cichej lecz przejmującej radości. ~~...~~ Tylko z nawyknienia Klemunia wyśmiewała materyę w kratę, którą sprzęt był obity, bo, kiedy obite materyą piękniejszą były bardzo drogie!

Dwa okna nad domkiem jasno oświetlone, w karwiakowym pokoju pali się duża lampa, więc pan Zbigniew jeszcze nie odszedł. Siedzą zwykle pewno jedno przy drugiem, ona na szezlągu, on na krzesle i cicho rozmawiają. ~~Od miesiąca...~~ Od pół tygodnia są narzeczonymi i żeby nie choroba Klemuni w karnawale ~~...~~ odbyłby się ślub, a tak, niewiadomo jeszcze kiedy to nastąpi. Matka cierpiała z tych względów, rozpłakała się z radości, kiedy p. Zbigniew włożył na palec Klemuni pierścionek z szafirem. Klemunia była upojona szczęściem; p. Zbigniew, rozpromieniony, wydawał się tylko trochę, iż Kasia znalazła się blisko niego. Nie chcąc sprawiać przykrości p. Zbigniewowi, przytem widząc jak oni oboje troje byli sobą wzajem zajęci, co prędzej, poszła do sypialnego pokoju i szyła dla Klemuni błękitny szlafroczek. Nikt ~~...~~ Walenia się jej nie zajmował, ani troszczył się o to, co ona mogła czuć i myśleć. Zabranie jej ochotnika, którego kochała, wydawało się wszystkim rzeczą tak prostą, że nikomu do głowy nie przychodziło. Może Klemunia i uważała

potem jakie skrupuły, bo stała się dla niej czulszą, niż poprzednio. Całowała ją czasem, zwierzała się przed nią ze wszystkiego co zaszło pomiędzy nią, a panem Zbigniewem. Ją ta serdeczność siostry wzrusza, ale nie pociesza. Przeciwnie; im więcej kocha Klemunię, tem mocniej ją boli, że to ona, ona właśnie... Ale, niech tam! Niech tylko wyzdrowieje, dla siebie, dla p. Zbigniewa i dla Matki, bo co stałoby się z matką, gdyby broń boże... Nie; nie trzeba nawet myśleć o tem. Komu Pan Bóg dał takie wielkie ~~Matce~~ szczęście, temu chyba życia nie odbierze.

Cóż się dzieje na ulicy, przy której znajduje się ich mieszkanie? Wysoki gmach, mieszczący w sobie resursę publiczną, jak raz naprzeciw ich mieszkania, gorzeje od świateł. U bramy stoją policyanci, przed bramą dojeżdżają sanie i karety na kołach. Brzękadła na uprzęży końskiej dzwonią, koła skrzypią po śniegu, stangreci wołają: z drogi! z drogi! policyanci kłócą się z tłumem gapiów ulicznych. A z wysoka, z wysoka, zlatują na ulicę huczne dźwięki orkiestry. Różne instrumenty dęte: trąby, bębny, flety, klarnety grają wesołego kontredansa. W resursie bal. Nic dziwnego, wszakże to karnawał. Trzeba tylko dojrzenie

przebiedz wszerz ulicę, aby nie wpaść pod konie których wiele biegnie w jednę stronę i w drugą u sań i karet nadjeżdżających, odjeżdżających. A tu, w kałużach starych i rozdeptanych nieboję(?) przed końmi ślizgając się co chwilę i o mało jednego nie zgubiła. Otóż zgubiła! Zagrzązł i pozostał w śniegu. ~~Obejrzała się~~ Dopadła z chodnika, obejrzała się, dawna wesołość ją ogarnęła. Ze śmiechem zawołała do zgubionego kalosza. — Bądź zdrów kolendarski(?) i lodzin(?)!

II

W głębi ~~małej~~ skromnej bawialni, pani Antonina Tarczyńska, ~~siedziała na kanapie obok pani Anieli Szum~~ wdowa po geometrze, siedziała na kanapie obok pani Anieli Szumskiej, wdowy po lekarzu. Obie panie mieszkały w jednym domu, bardzo się szanowały i lubiły. Znajdowały się w tym wieku, w którym kobiety stają się mniej więcej do siebie podobne. Włosy siwiejące, czoła pomarszczone, oczy wyblakłe, wargi zwiędłe i zarysowujące nawet w uśmiechu linię znużenia, lub goryczy. Staranne ubranie okazuje, że obie panie lubią(?) sobie utrzymywać się na pewnym tonie, zdala

od nędzy wstydzącej się żebrać. Ciemne suknie
i czarne czepeczki na siwiejących włosach, ale
przy sukniach ~~są~~ jakieś kokardki, frendzelki,
a czepeczki przytwierdzone do włosów błyszczącemi
szpilkami, z bardzo lichego ~~[illegible]~~ metalu.
Wdowa po lekarzu jest ~~przysadzistą~~ przysadzista trochę
garbatą, tuszowaną i z czerwonemi, krótkiemi
rękoma. U wdowy po jeometrze, "szczupłość"
kibici, bladość" ~~twarzy~~ cery, delikatność" rąk świadczy
o słabem zdrowiu, dobrem urodzeniu i nie
zatraconej w ubóstwie dystynkcji. Matka
Klemuni i Kasi ma pozór kobiety dystyngo-
wanej, mocno zgryzionej w złych czasach i
może dla tego kapryśnej. Ale też i uczuciowości
dużo maluje się na jej ~~twarzy~~ [illegible] cierpiącej twarzy.
Głosem cichym, jakim zazwyczaj mówią osoby
chore na płuca, powoli, lecz z zapałem, prowadzi
z sąsiadką rozmowę o drożyźnie produktów,
o niezwykłej obfitości śniegów tegorocznych,
o niesmacznych przywarach dziewczyny, świeżo
do służby przyjętej. Sąsiadka ograniczała się zrazu
na krótkich odpowiedziach, ale potem głos zabiera
i od przywar ostatnich klasie służących przechodzi
wprost do kazania niedzielnego i zachwytów
nad krasomówstwem uwielbianego powszechnie
kaznodziei. Gestem ~~wzruszonym~~ jednym zamaszystym
rozstawiając krótkie i czerwone ręce, powtarza

wyjątek z budzącego kazania, lecz ogromnie tekst egzagerowanie. Kaznodzieja był lepszym chrześcijaninem, niż większym filozofem i daleko oszczędniej niż ona rozporządzał się ~~ta~~ epitetami, gromiącemi ludzkie złości i zdrożności. Zachwycony okres mówionym milknie, spogląda na sąsiadkę, i wzdycha i dodaje.

— Tak, tak!

Pani Antonina wzdycha także i powtarza.

— Tak, tak!

Przyczem, na tle wysokiej poręczy kanapy, ~~[illegible]~~ obie wstrząsają siwiejącemi głowami, w czarnych czepeczkach.

Gdy znowu na kanapie umilkło, wyraźniej dał się słyszeć drugi, w rogu pokoju. Tam także dwa głosy mówiły, raczej szeptały. Nie było z czem się krywać, ale cień i szept, to rodzime żywioły zakochanych. Dwudziestoletnia panna, leżąca na szezlągu, sprzeczała się z trzydziestoletnim mężczyzną, siedzącym przy niej na krześle, o wyższość romantyzmu nad realizmem w poezyi i powieści. On, obstawał przy realizmie; ona była fanatyczną zwolenniczką ~~realizmu~~ romantyzmu. Sama przedstawiała zjawisko, które mogło sprawiać rozkosz oczom ~~realisty~~ zarówno realisty, jak romantyka. Szezląg stał w cieniu wysokiej i głębokiej komody, a w tym cieniu, twarz Klementyny, śliczna

haftowana przybierała pozór białej lilji. Była bardzo biała i delikatna, z wielkiemi, ciemnemi oczyma i długim wężem czarnych włosów z tyłu głowy. Wyglądał Kibi! Malowniczo opływał błękitny szlafroczek z materji taniej, ale bardzo ładnie zrobiony przez Kazię. Pan Zbigniew miał zgrabną postawę, ~~tą~~ śniadą cerę bruneta, ładne wąsiki i cochwilę próbował wspierać się łokciem o brzeg komody. Ale komoda była zbyt wysoka na ten użytek i łokieć usuwał się z niej niespodziewanie, co sprawiało p. Zbigniewowi dużo niedogodności. Wreszcie stanowczo obrawszy sobie inną pozę, występował przed zebranemi w obronie realizmu w poezji. Z takiem prawie krasomówstwem, z jakiem Ossi, w godzinach podwieczorowych, bronił przed sądem jednego fałszerza monety i dwóch podpalaczy. Gdy umilkł, Klementyna z zamyśleniem wzniosła ~~oczy~~ śliczną główkę i z kolei wyszeptała cały szereg imion, z których każde było argumentem wcale poważnym.

— Szyler, Bajron, Wiktor Hugo, Mickiewicz, Krasiński...

Słowa rozmowy, jakkolwiek wymawiane cicho, dolatywały uszu pań siedzących na kanapie. Pani Antonina zaśmiała się:

— Słyszy pani? jakie to u nas rozmowy się prowadzą!

Pani Aniela, od przyjacielskiego wzruszenia uśmiechnęła się szeroko.

— A jakże! Tacy rozumni i wykształceni oboje!

— Żeby tylko nie taka choroba! szepnęła wdowa po geometrze i naraz zgasła jak zdmuchnięta świeca.

— A co? odszepnęła wdowa po blacharzu; możeby i zawieźć ją do tej znajomości w Baranowie? Jak pani myśli?

Naszeptem, w cieniu komody, młodszy chór przyciszonym głosikiem mówił.

— Don Karlos, Child Harold, Ernani, Konrad Walenrod, Balladyna...

— Ani z tych dzieł nie czytałem.

— Przeczytamy je razem. Dobrze?

— Będę wdzięczny; będzie pani Beatriczą moją!

Pani Antonina mrugnęła powiekami ku sąsiadce.

— A co!

Sąsiadka odmrugnęła.

— Aha!

W tej chwili, w kuchence, graniczącej z bawialnią, dało się słyszeć stąpanie drewnianemi; potem tupot nóg otrząsających śnieg z obuwia, potem szelest zrzucanej odzieży, aż dopiero wbiegła dziewczyna mniej niż średniego wzrostu,

z oczkami żywemi, z cerą i rumieńcem, które
czynią ją podobną do polnej róży. Ciemne
włosy miała rozczesane od wiatru, usta zaczer-
wienione od mrozu i czerwone jak koral, śmie-
jące się usta. Czy jej dobrze było, czy źle, czy miała
ochotę do śmiechu, albo do płaczu, zawsze
wchodziła do domu z uśmiechem, ~~[illegible]~~ albo
i ze śmiechem. Dom tu było smutno i bez
niej, z powodu troski i słabego zdrowia Matki,
a teraz szczególniej, z powodu choroby Klemensa.
Tego tylko brakuje, aby ona przynosiła tu
z sobą łzy, lub lamenty. Przytem, p. Zbigniew
nie powinien nigdy widzieć jej smutną. Żeby
ją na kawałki krajano, jednakby w jego
obecności nie jęknęła, ani zapłakała, lękając
się, aby nie pomyślał, że jęczy i płacze nie od
tego, że krają, ale od tego, że on ją porzucił.
Więc śmiejąc się przebiegła pokój, uchyliwszy się
pocałowała Matkę w oczy, przyjaciółkę matki
gdzieś około łokcia, a czyniąc to mówiła żywo,
głosem świeżym jak wiosna.

— Co się to dzieje około naszego domu! Co się
dzieje! Resursa oświetlona, muzyka grzmi,
powozów mnóstwo, a tak tłumno roją się
z końmi, że uciekając przed niemi kalosz zgu-
biłam!

— Bardzo interesującą historyę opowiadasz... o

starym kawalerem! Łagodnie, lecz nie bez smutnej ironji zauważyła p. Antonina.
— Panna Kazimiera zawsze w dobrym humorze, wesoła jak szczygiełek, — wtrąciła się p. Amelja i znacząco przeniosła wzrok na ~~[illegible]~~ Klementynę. Znaczenie tego było takiem: „Siostra chora, a ona chichoce... brak serca!
Pani Antonina zrozumiała i gdy Kazia, tymczasem obejrzawszy się przed lustrem, poszła ku drzwiom, cicho szepnęła.
— Serce ma dobre, ale taka to jest natura, — otwarcie kochanej pani powiem, — prosta, prozaiczna!
Kazia po przyjacielsku ściskała rękę p. Zbigniewa.
— Dobry wieczór panu! Jakie sprawy dzisiejsze? Czy podpalacze poszli w świat, aby go znowu podpalać?"
P. Zbigniew odpowiedział.
— Poszli, proszę pani. Wygrałem sprawę. Ale to drobnostka.
— Wcale nie drobnostka! To jest zawód pana, powołanie, obowiązek...
Pochyliła się ku siostrze.
— Jakże się czujesz? [illegible] ci...
Klementyna z niecierpliwością ~~[illegible]~~ przerwała.
— Źle mi nie było wcale i teraz czuję się doskonale.
Wstydziła się trochę przed p. Zbigniewem tego,

że otworzywszy teczkę drugą; Chodziło się Wandzi-
go, Basi. ~~Kazimiera~~ Kazia wiedziała o tem.
— To prawda! zawołała; wyglądam znakomicie,
widać, że wszystko już porządku..
Klementyna zwróciła się do p. Zbigniewa.
— Od czego zaczniemy nasze wspólne czytanie?
— Wybieranie programu należy do pani.
— Więc od jutra Don Karlos.
Usiadła w oknie; oczy jej świeciły w cieniu
jak brylanty.
— Ach, jakto będzie miło, miło, codzień przy-
stać wspólnie jakąś godzinkę. Ale... czy Pan
umie po niemiecku?
— Znakomicie!
— Czego Pan nie umie! Wszystko!
— Jedno nadewszystko.
— ~~Kok~~ A co?
Wiedziała z góry jaka będzie odpowiedź, ~~[illegible]~~, jednak, z wy-
razem figlarności ~~[illegible]~~ w oczach, zapytywała.
— Co pan umie nadewszystko? co?
Nachylił się nisko i ~~[illegible]~~ szepnął: kochać nadewszystko.
— Kochać!
Potem już oczy ich przestały widzieć świat,
bo utonęły jedne w drugich.
Kazia odeszła i stanęła przy stole, na którym
paliła się ogromna lampa, przed dwoma pannami,
siedzącemi na kanapie. Pani Antonina wróciła do

pani Anieli.

— Moja droga pani, ja bym już naprzód wszystko i [illegible] świętą Zamieniła, byleby ratunek znaleźć! Ale, zdaje się, czy to było można? Taka ciemna baba!

Pani Aniela nadąsana, ~~[illegible]~~ pogardliwie.

— Mój nieboszczyk mąż mówił zawsze: „Wiedza ludzka ma granice!" Przenikliwym dobrze rozum zamówił i jak raz odszedł. Wiedza ludzka ma granice, a wiara nie ma. Przemądrzy wszyscy... A Rymkiewiczowa! Tak już była stara, że pannie Klementynie, gdzie dalej chodziły! A jakże ona okadziła, oszeptała, przez 7 dni, siedmioma szpilkami, po siedem razy nakłuła...

— To wiedźma? szepnęła p. Antonina.

— Niech sobie i wiedźma! jeżeli pomaga biednym ludziom, to co? Czy panna Klementyna...!

Tu, poszeptała ~~[illegible]~~ na ucho sąsiadce, która z kolei ~~[illegible]~~ -inta przysłużyła dalej [illegible] i zaczęła odszeptywać; przy czem, pobladłych i aż prawie przerażonych policzkach matki Klemuni, popłynęły ~~[illegible]~~ dwie łzy, w świetle lampy srebrne.

Od tych łez matki, od szeptów dwóch pań, od trwającego ~~[illegible]~~ ciągle w zagadkowej [illegible] zatroskanych głosów, uśmiech zgasł na koralowych wargach Kasi. Miała jednak ten zwyczaj, że gdy tylko zasnęła, i uśmiech ~~[illegible]~~

ucięła z ust jej tak, że już sama pokazywać go nie można, a obróża na czole w sposób niezręczny ciężemy [illegible] się w znaczeniu, była do roboty do jakiejkolwiek kwestii roboty, byleby jaśnie [illegible], którą mamy przed wszystkimi oddaleniem się, milczenie i znaczenia na czole.

III

Siedziała w małej sypialni, przy stoliku na którym zapaliła lampę i z jakichś kawałeczków, skrawków, wyrabiała ozdoby, mające świetnie (na nowo) zniszczoną suknię matczyną.

Sypialnia miała kształt szuflady z jednym oknem; mieściła w sobie dwa łóżka, stolik z lampą i gotowalnię Klemmni, obitą wełnistym perkalem w kwiaty. Klemmnie miała też i biórko, które stało w bawialnym pokoju. Naturalnie, piękna panna musiała posiadać gotowalnię ze zwierciadłem, a naczynie [illegible] biórko. Tymczasem, mając prawo do nazwy tylko przystojnej, nie pisze nic, a ubiera się to tu, to ówdzie, przed kawałkiem rozbitego zwierciadełka, wiszącym w kuchni, albo i bez żadnego zwierciadełka. Kwestii, czem ~~[illegible]~~ podobne wcale jej nie obchodzą. ~~Czego pragnęłaby bardzo, to~~

~~sowa, przyjaźni wytężonej i orędzia; o sercu Mojżesza!~~ „Co sprawia iż przyjdzie”, tego stolik przy którym szyję, znajduje się w samych drzwiach do bawialni, tak blisko szeregu klamki, że mi słyszeć każde słowo rozmowy, którą ona prowadzi z narzeczonym. Odsunęłabym dalej stolik, ale miejsca niema; poszłabym z robotą do kuchni, ale mogłoby to wyglądać na użalanie się, albo na smutek, zazdrość samotności. Więc ze skromności ot tam i koronkową tasiemkę wszywając w białe gustowną ozdobioną zamierzonym staniku matki, Kazia siedzi pomiędzy dwoma pieśniami, z których jedna jest muzyczną, a druga miłosną. Przez okno wlatują tu dźwięki wyraźne tony muzyki, grzmiącej w sąsiedniej sali; z za drzwi dochodzą dźwięki wyraźne słowa zamieniane przez narzeczoną parę. Tony i słowa zlewają się w całość harmonijną. Jest to pieśń na dwa głosy, z akompaniamentem muzyki.

Będzie wieczór zbliża się ku końcowi; narzeczona para przestaje dysputować o względnej wartości szkół literackich i przed bliskiem rozstaniem dobywa z głębi serc słowa ~~kochania~~ szczere. Zaczynają nazywać się poimiennie, mówią sobie ty.

— Więc wolałabyś ten domek z ogródkiem przy ustronnej ulicy, niż to piękne mieszkanie w środku miasta?

— O, tak! Bardzo chcę ogródka przy domu. Zdaje się tylko, aby ustronne mieszkanie...
— Nie zaszkodzi to interesom moim? — Moja najdroższa, jedynym teraz ważnym interesem moim jest twoje zdrowie i zadowolenie.
— Dziękuję. Ani mi śniło, aby mógł istnieć na świecie człowiek tak dobry, jak ty, Zbigniewie!

Kasia przestaje szyć, składa ręce na kolanach, i patrzy na szereg okien, jak raz naprzeciw jej okna rozgorzałych od świateł, i wylewających potoki tonów płomiennych i słodkich. Prześliczny walc: płomienny jak namiętność, słodki jak serce rozdarte.

— Moja droga, ani podobna kochać tak, jak ja cię kocham! Wszystkie myśli moje z tobą. Kiedy bronię sprawy przed sądem, muszę pilnie strzec siebie, aby wśród wymieniania artykułów prawa, nie powiedzieć nagle: Klemunia!

Z cichym, i głębokim śmiechem Klemunia zawołała.

— A toby też było pięknie!
— Gdybym mógł, wziąłbym cię na ręce i niósł na koniec świata, do zdrojów leczących i drzew śpiewających, abyś wyzdrowiała, sił nabrała, poweselała i zaraz, zaraz została zdrową, śliczną, szczęśliwą żoną pana Zbigniewa, młodego jeszcze, ale już sławnego adwokata w tym ~~do~~ wielkim mieście Ongrodzie.

— Tyś zdrowie moje! Szczęście — najlepsze kłamstwo.
— Czujesz się szczęśliwą?
— Kochasz mię?

Okna przeciwległego gmachu śpiewają ciągle: la, la, la! — la, la, la! Niby wesoło, ale zarazem namiętnie, szalenie. Kasia doświadcza takiego uczucia, jakby jej w piersi coś rozdzierało się szeroko i jakby z tego rozdarcia płynęła gorąca ciecz. To przez, który wpadł w nią jak burza. Ale ona siedzi wyprostowana, tylko z oczami wilgotnemi, i zręcznie układała resztę zatkam do stanika matki. Krzyś zaraz osłonął, a ojciec stoi na dnie piersi, nieruchomy.

Jakkolwiek w pokoju sąsiednim znajdują się jej najbliżsi, a w gmachu przeciwległym rojno i hucznie, ona czuje się tak samą jedną na ziemi, jakby ją otaczała pustynia. Ze zmarszczką na białem czole i z poważnym zarysem warg, jak koral czerwonych, ściśniętych ciągle, Kasia układa w głowie porównanie, na które może nie wpadliby nigdy ani Klemens ani p. Zbigniew, który tak lubi gry i umiejący wyliczać imiona poetów i tytuły dzieł poetyckich.

Widziała dziś na mieście, złożone nad rzeką i wiszące na wozach brudy, czy szyby łodzi. Otóż jej serce, ta pełnych zamknięty w

takiej szybie. Czworokątna, gruba, przezroczysta jak kryształ, a w niej, jak lampka blado-złota, pali się płomyk. Smutne i cichutkie te lampy płonące w szybach lodowych!

Teraz, przez okna ~~[illegible]~~ resursowej sali lecą się tony polki, szczere wesołe, skoczne, nawet roztrzepotane. Wśród nich, dwa głosy, z intonacją żalu zamieniają się słowami:

— Dobranoc, skarbie mój!

— Dobranoc, Zbigniewie!

Słychać szelest długiego pocałunku, którym usta ozdobione żadnym wąsikiem przylgnęły do pięknej ręki kobiecej.

IV

Po odejściu p. Zbigniewa Klemunia uczuła się bardzo słabą. Nie darmo lekarz, stary przyjaciel domu, powtarzał ciągle: spokoju! spokoju! żadnych wzruszeń! A te wzruszenia były ciągłe. Dla organizmu mającego w sobie taką chorobę, wzruszenia radośne i nie-dośne, mogą być także ćwiekami do trumny.

W ów wieczór zaręczynowy naprzykład, Klemunia uczuła się tak niedobrze, że Kazia pędem strzały poleciała po lekarza. Atak minął.

prędko; ale dziewczyna, korzystając z krótkiego sam na sam, formalnie wzięła w oblężenie starego lekarza, którego znała od dzieciństwa. Wmyła go we framudze okna i zastępując drogę do ucieczki, przesilnie za ręce pochwyciła.

— Panie! mój drogi Panie! co z tego będzie? Jak się to skończy?

Oczy miała pełne strachu, a od latania po lekarza i lekarstwo, twarz całą w ogniu. Lekarz, który coś wiedział, a wiele się domyślał o historyi dwóch sióstr i pana Zbigniewa, popatrzył na nią z pod siwych brwi wzrokiem trochę przyjaznym, a trochę drwiącym. W taki sposób spoglądają ludzie na owe takie dobre i głupiutkie. Lubi się je, bo dobre; drwi się z nich, bo głupie.

— No, nie wyskocz ze skóry od strachu! Gotowałabyś w zastępstwie siostry, siebie ofiarować na śmierć!

— Z największą ochotą! wykrzyknęła, z oczyma rozjaśnionemi jak brylanty.

— To głupio; człowiek powinien dbać o siebie, bo im więcej nie dba, tem więcej inni o niego także nie dbają. Pocóż...

— Ale klnę się, Panie! drogi, kochany Panie, proszę prędzej mówić, bo mama nadejdzie...

— Mama... powtórzył lekarz; otóż to! Mama...

głowa z siwemi włosy i z bladą twarzą w złotych okularach, pochyliła się w krótkiem zamyśleniu.

— Powiedzieć? nie powiedzieć? Na wszelki wypadek, trzeba powiedzieć. Tej silna...

Oczy z za okularów błysnęły znowu uśmiechem, tym razem nie drwiącym, ale rzewnym.

— Oho! Zuch dziewczyna! Prawie jak tęgi chłopiec i — o mię nie dba! No, to i wiedz wszystko!

Pochyliła się i nad włosami jej, zwichrzonemi od latania po mieście, szeptała:

— Klemunia urodziła się z wadą serca... Mitem przeciw można poznać wszakże, gdyście jeszcze były w kołyskach. Ale szczęściem, była to drobnostka. Powiększyła się wraz z wzrostem i dojrzewaniem. Przytem biegi szkolne, latanie na lekcye, latanie z lekcyami, wytrawanie się przy lekcyach, obiadem... cóż długo mówić? Pogorszyło się... Zawczas pogorszyło. Teraz jest niedobrze. Jednak desperować jeszcze niema czego. To względnie i bywa rozmaicie. Może wzmocni się, i żyć długo, bo też się zdarza.... zdarza... ale może też nastąpić... kiedykolwiek, prędzej czy później... może nastąpić...

Zawahała się. Radzi drżała.

— Co? co? co może nastąpić?

Stary lekarz był wybornym operatorem, a jak powiadano, dlatego wybornym, że odważnym. Kiedy trzeba, to ciął, a śmiało, bo [illegible] do jednego [illegible] dwa drugie. Nie obchodziło się to ~~tu~~ dla niego bez pewnej irytacji, do której wszyscy dziś przywykli. Więc pannę ciocię i pannę [illegible] nad jej uchem, trochę szorstko odpowiedział.

— No, cóż może nastąpić? nagła śmierć!

I sam już teraz pomarszczony [illegible] ją podtrzymał.

— Tylkoż nie zemdlej!

Ani wyglądała mdleć. Biała jak papier, nawet z wargami białemi, silnie stała na nogach i z [illegible] szeptała.

— A mama? co z mamą?..

— Otóż to, mama. Dlatego i powiedziałem wszystko. U mamy jest także wada w biednem, drżącem ciele.. Nie serdeczna, inna, ale taki cios.. Co tam długo mówić? W razie czego, trzeba ją przygotować, wzmocnić, otoczyć staraniami... broń boże, takiej nowiny jak obuchem w łeb nie uderzać, ani samej żadnej nie zostawiać.. Rozumiesz? Zresztą, w razie czego, przybiegnij po mnie.

Uścisnął ją, wziął kapelusz, biegł ku drzwiom-

Od podłogi podpis wrócił.
— Tylko nie łudź się bardzo. Wszystko jedno może być dobrze. A sama, zdrowa jesteś? co?
— Jak ryba! z zapałem zawołała.
— I serce zdrowe? a?

Poważnie się zamyśliła, prędko, prędko, twarz znowu stanęła w ogniu, ale z błyskiem białych zębów wśród warg uśmiechniętych, zawołała.
— Niech pan doktor będzie łaskaw przez swoją trąbkę osłuchać mi serce, a przekona się, że zdrowe.

Tego wieczoru pan Zbigniew pozostał do późna i obchodził się z Klemunią, jak z chorem, najdroższem dzieckiem. Nadskakiwał jej, chodził na palcach, sam nalewał lekarstwo do kieliszka i brzeg kieliszka przykładał jej do ust. Kasia poszła do kuchni, ona także oparła się o stół, twarz zakryła dłońmi.
Dziś miesiąc, jakoż dziś miesiąc, towarzyszę jej z magazynu do domu, powiedział.
— Byłbym najszczęśliwszy, gdybym mógł odbyć z panią przechadzkę taką długą, jak całe życie.

Przecież to były oświadczyny. Więc ona odpowiedziała.
— Dobrze, ale niech pan przyjdzie do nas, aby poznać Mamę i Klemunię.

— Dobrze, powtórzył, ale pozwoli mi Pani dziś jeszcze rzucić swoje ucałowanie!?
— Dobrze, powtórzyła, ale powiem Mamie i Klemusi, że Pan jutro przyjdzie.
— Jutro przyjdę.

~~[illegible]~~ U bramy domu, w cieniu wieczora, pocałował ją w obie ręce i — w usta.

~~[illegible]~~ Wyprostowała się i przez kilka sekund, rękawem sukni mocno wycierała sobie usta. Zdawało się jej, że ~~[illegible]~~ jest na nich coś takiego, co ~~[illegible]~~ pali je i plami. Wtem, ~~[illegible]~~ spojrzała na buchający parą samowar. Jezus, Marya! Czy trzeba zgotować dla Klemusi dwa jaja na miękko, zalecone przez lekarza i matka też, po doznanem przerażeniu, chce ~~[illegible]~~ napić się herbaty!

Po kilku minutach, przyniosła siostrze zalecone pożywienie, z pogodą we wzroku i bardzo grzecznie zapytała p. Zbigniewa.
— Może Pan chce herbaty? Jest gotowa.

V

Wyszła, [illegible], z trzewikami, które pomimo oddalenia śniady skończoną grą, z włosami, które uwolnione od szpilek, opadły na plecy [illegible] przeszytem piórem z czarnego jedwabiu, Klemunia została z szczęścia i zachwiała się na nogach. Matka podbiegła, objęła ją, do łóżka zaprowadziła, ucałowała ostrożnie, aby nawet pocałunkiem zbyt silnym nie urazić, nad jej głową zakreśliła w powietrzu kilka krzyżyków i powiedziała Rózi, aby dopomogła rozebrać się siostrze. Sama odeszła do izdebki za kuchnią, gdzie od pewnego czasu sypiała. Była to dawniej izdebka Rózi, ale p. Antonina mierzała przy chorej córce noce niespokojne i z namowy lekarza przeniosła się do ustronnego kąta. Jeśli tam jest ta jej druga córka, to jest [illegible], ale chorej siostry strzeże lepiej jak oka w głowie; o tem p. Antonina nie miała żadnej wątpliwości.

Klemunia coś mówiła cicho.

— Żebyś wiedziała, Rasiu, jaka ja jestem szczęśliwa! Pan Zbigniew taki dobry! O mnie tylko, o tem co dla mnie, myśli. Ten dom z ogródkiem, który

30

Zawsze tak się podobał i mnie i tobie, pan Zbigniew.

Tchu jej trochę zabrakło.

— Zbigniew, ślicznie żeni się, prawda? Otóż w tym domu z ogródkiem, pięć pokojów...

Jeszcze więcej tchu jej zabrakło.

— Nie mów już nic, Klemmciu; gdy rozbierzesz się i będziesz spokojnie leżała, opowiesz...

Błękitny oklapnięty, szyty ~~[illegible]~~ lekkiemi jak motyle szłoma Kazi, już leżąca na krzesełku Kazia przeglądała i zdejmowała z drobnych stóp siostry śliczne pantofelki z pomponami. Nad pantofelkami jej głowy, przelękniony szept.

— Tak mi niedobrze, Kaziu!

Ręce zdejmujące drugi już pantofelek drgnęły, i Klemmcia zakrzyknęła.

— Tak nagle zdejmujesz! targnęłaś mi się do nogi...

— Przepraszam, Klimciu!

— Bo widzisz, ~~[illegible]~~ jestem(ci) wdzięczna, ty dobra... ale kiedy ten okropny ból w piersi nadchodzi...

— Czy czujesz, że nadchodzi?

Wtem, nagle, za oknem, stuknęło, huknęło, zagrzmiało, zaśpiewało i — umilkło.

— Jezus, Marya! krzyknęła Klemmcia i z obłąkaniem w oczach zaczęła szeptać.

— Co to? co to? co to?

Kazia ogarnęła ją ramionami i ~~[illegible]~~ do piersi przytuliła.

— Nic! nic! nie lękaj się! to muzyka! W resur-sie bal. Już od godziny nie tańczą, pewno wieczerzę jedzą. Przy wieczerzy, toasty. To akompanjament do toastów.

Głowę jej podłożyła na poduszkach, nogi wyciągnęła na pościeli, leciuteńko okryła kołdrą.

— Widzisz, Klimciu, — ~~mówiła~~, ja wiem, że to tobie dziwne, bo do magazynu przychodzi mnóstwo ludzi, opowiadają, rozmawiają, a ja choć i nie chcę słuchać, słyszę. Kiedy kto przy wieczerzy jaki toast wzniesie, muzyka odpowiada: traf! traf! hucznie i krótko. Która też może być godzina? Już pewnie bardzo późno. Ciekawam, czy mama zasnęła? Pójdę posłucham pod drzwiami.

Mówiła cicho i cicho wybiegła do kuchni. Robiło jej się straszno, tak straszno, że Bóg wie co dałaby za to, aby oprócz niej ktokolwiek jeszcze był przy Klemci. Ale któżby? Służąca, dwa dni temu przyjęta, obca, niezgrabna, głupia. Postała przy zamkniętych drzwiach izdebki matczynej i wróciła do łóżka siostry.

— Mama już zasnęła; trochę nawet chrapie. Śpij i ty. Ja prędziutko rozbiorę się i lampę...

Traf! Jakby się sufit nad głowami dwóch sióstr zawalił, tak muzyka w resursie huknęła, zagrzmiała, zaśpiewała i — umilkła. Wąziuteńka ulica i dwie ciemne ściany, to prawie

nie dla tych [illegible] instrumentów. Jakby za samym oknem świat z krzykiem i ze zgrzytem runął.

Klemunia siedziała na łóżku, podobna do liścia targanego przez silny wicher.

— Boże! Boże! Boże! jak boli... dusi... pod gardłem. Czy to z tego... te żarty...

— Uspokój się! Klimciu! moja złota! całus tobie! To nic złego... tylko wesołość... to wielka wesołość trwała.. Jak będziesz żoną p. Zbigniewa, może tak samo, kiedykolwiek, na jakim balu, przy wieczerzy.. będzie ci wesoło! Czego tak chwytasz się za piersi? Boli? poczekaj! dam ci kropel i przyłożę kompres... zaraz! zaraz.

Przedtem już odeszła była Lucia, więc w pończochach, cicho jak kotka, przyniosła lekarstwo i kawał płótna, który zamoczyła w miednicy z wodą. W domu i za domem panowała głęboka cisza. Klementyna szepnęła.

— Lepiej mi, [illegible] kompresy. Tylko... strasznie. Tak mi czegoś strasznie... boję się... usiądź przy mnie, weź mię za ręce. Co to takiego, że ~~[illegible]~~ tak mi strasznie?

Rózia usiadła na ziemi, przy samym łóżku i ręce drobne, ale zgrubiałe, z kilku bliznami od nożyczek i żelazek, położyła na rękach siostry białych jak lilije.

– Bo nie zważaj na tę przeklętą muzykę. Niech sobie gra! Co nam do tego? Porozmawiajmy lepiej jaką cudną suknię wystawioną widziałam dziś w magazynie Lutkiewicza! Naprawdę nie bardzo droga, ale taka ładna...

Wiedziała ona czem siostrę zająć może. Klementyna szepnęła.

– A z czego?

– Wiesz? prawie z niczego. Wełna, ta tkanka jedwab. Dwa kolory przygaszone: bleu fancé i brun malade...

– Najładniejsze kolory... przygaszone!

– Myślę, że powinnaś koniecznie mieć w wyprawie taką suknię. Wizytowa. Będziesz przecie potrzebowała sukni wizytowej...

– Niech tak wiele pieniędzy na tę wyprawę...

– Bądź spokojna. Już ja się postaram, abyś miała taką suknię...

– Wolałabym w jednym kolorze...

– To zrobisz w jednym.

– Ale w przygaszonym...

– Naturalnie. Czy jeszcze się boisz?

– Nie; strach przeszedł. Ale znowu ból... pod gardłem ... aj, nieznośnie!.. Daj mi kompres!..

Trach! trach! Wiwat! Trąby, bębny, flety, klarnety, [illegible], [illegible], [illegible] zaśpiewały i — umilkły.

Z nad ciasnych podwórek, z pośród podsieniów

34

czarnych, wielkich, lśniących włosów, wzbił się ciemny obłoczek.

— Ach! ach!

Potem, przygotowawszy pokojowi ciszy głębokiej, powiada ostatecznie nie długie, zakończone oskarżeniem tylko jednym, głośnym. Kasia rzuciła się na siostrę.

Tymczasem, lampa na której dnie było już troszkę tylko nafty, zaczęła przygasać, a w odblasku jej i światła, oczy Klementyny padały na pokój spod niedomkniętych powiek, osłupiałe i nieruchome. Były dziwnie podobne do dwu zapotniałych szkiełek, których powierzchnia trochę błyszczy, lecz przez które zupełnie nic nie widać. Kasia głośno oplotła rękoma, krzyknęła i wnet, z przerażeniem w oczach, obie rękoma przycisnęła sobie usta. Ale krzyk zgrzyt już z nich wyrwał; w kuchence dało się słyszeć ciche otwieranie się drzwi.

— Mamo! Mamo! Mamo! co ty robisz!? zaszeptała Kasia i nieprzytomnie obsunęła się raz drugi [illegible] sobie. Lecz trwało to sekundę, po której śpiesznie wyszła do kuchni, a drzwi za sobą zamykając. W grubej ciemności napełniającej kuchenkę, dwa głosy zaszeptały.

— Czy to Kasia?

— Ja, mamo!

— Co się u Was dzieje? Któś krzyknął?
— To się Mamie zdawało. To musiał być głos w sennie.
— Czegoż ty mi drogę zastępujesz? Pójdę spojrzeć na Klemunię.
— Ja drogi nie zastępuję, ale niech Mama nie idzie, bo obudzi Klemunię.
— Czy zasnęła?
— Już zasnęła.
— Muzyka jej nie budzi?
— Nie budzi.
— Czego ci głos zadrżał?
— Szklankę stłukłam wieczorem i teraz nastąpiłam na szkło.
— Klemunia śpi dobrze?
— Doskonale.
— A czego tutaj przyszłaś?
— Wody się napić.
— Po ciemku?
— Cóż ważnego? Znajdę...
— Klemunia śpi?
— Śpi.
— [illegible] obudzisz... niewiedzieć czego?
— W pończochach chodzę. — Ciotko! Niech Mama już ~~spać~~ idzie spać.
— Chciałabym spojrzeć na nią.
— Lampa zgasła. Niech Mama idzie spać.
— Czemu ty mnie tak prosisz, abym szła spać?

— Bo w jednej bieliźnie tak długo... przeziębić się można.
— To prawda. Zimno. A ty dobrze okryłaś?
— Okryłam. Dobranoc mamie.
— Klemunia śpi spokojnie.
— Najspokojniej.
— Już idę. Przed zaśnięciem, nie obrażasz się na mnie?
— Zupełnie się nie obrażam. Dobranoc mamie.
— Znowu ci się gdzieś zatrzęsło. Co to jest?
— A to szkło! Znowu ~~mamie~~ nastłukłam...
— Jakże można być tak niedbałą: ~~zrobić~~ stłuc szklankę i szkła nie uprzątnąć. Rozbierz się tylko cicho, aby jej nie obudzić.
— Nie obudzę.

Blada jak płótno i z ustoma drżącemi jak liście, wsunęła się do sypialni. W coraz słabszem świetle dogasającej lampy zamknęła drzwi od kuchni i klucz w zamku zatrzasnęła. Pobiegła do drugich drzwi, od bawialni, i popchnęła w nich zasuwkę; spróbowała potem jednych i drugich: Mocno zamknięte. Tak zostaną do rana. Jeżeli matka znowu przyjdzie, znajdzie drzwi pozamykane. Żeby nie wiedziała, jak stukała, ona ~~[illegible]~~ nie otworzy, uda że śpi. Ale nie będzie stukać, z obawy przestraszenia Klemuni. Pomyśli, że to nieuwaga ~~[illegible]~~ Kasi; potem się uspokoi...

ale potoczy się i znowu zaśnie. Zresztą może nie przyjdzie. Niech prześpi noc spokojnie, to jej doda trochę sił. Kaminska, nastawi samowar, stróża pośle go po lekarza i po pana Zaligniewa, obudzi i przyprowadzi tu panią Szumską. Kiedy matka się obudzi, będą tu ludzie, lekarz, herbata, wino... A wtedy....

Zadumała i zacisnęła ręce tak, że aż w stawach zatrzeszczały. Przystąpiła do łóżka siostry i spotkała się z patrzeniem z pod wzniesionych powiek, szklistemi, a jednak zgasłemi oczyma. Cofnęła się o parę kroków, aż do samej ściany. Ogarnął ją strach taki, że doświadczyła uczucia powstawania włosów na głowie. Ale potem, wielki żal zaczął walczyć z bojaźnią i zwyciężył. Przybliżyła się znowu i ruchem bardzo miękkim położyła dłoń na powiekach siostry. Widziała parę razy, jak się przymykają oczy umarłym. Stała tak przez kilka minut, z jedną ręką na oczach siostry, drugą opuszczoną na ziemię, z twarzą nisko pochyloną i zalaną gęstemi łzami.

Wtedy, za oknem otwartem, rozlegała się nuta walca, niby wesoła,

len na dnie tak namiętna i żałośna, że wprost rozdzierająca. W tem mieście skończono już wieczory, teatry umilkły, tańce rozpoczęły się na nowo.

— La, la, la! la, la, la! Świat ciemnej ulicy walc balowy i tłumem tonów wpadał do szufladki z jednem oknem, w której Kasia, kluczem i zasuwką, na długą noc zimową, zamknęła się sam na sam z trupem siostry.

Lampa zgasła.

E. Orzeszkowa

ARCHIWUM E. ORZESZKOWEJ • 1884

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

[redacted]

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl